

Alberto Giacometti

Zyjemy w okresie w każdej mierze bez polotu, a fetyszyzm, który, podobnie jak w najdawniejszych czasach, leży u podstaw naszej ludzkiej egzystencji, z rzadka jedynie ma okazję zadowolić się, występując w niezamaskowanej postaci. I dlatego – miłośnicy słabowitych fantomów (naszych imperatywów moralnych, logicznych i społecznych) – czepiamy się fetyszyzmu przekształconego, czyli imitacji tego, który ożywia nas dogłębnie, i ów zły fetyszyzm pochłania największą część naszej aktywności, nie zostawiając niemal miejsca na fetyszyzm autentyczny, jedyny, którym naprawdę warto się zajmować, ponieważ jest całkowicie siebie świadomy i z tego powodu nie ucieka się do żadnego oszukiwania.

Pośród dzieł sztuki niewiele znajdziemy przedmiotów (obrazów czy rzeźb) zdolnych z grubsza choćby sprostać podstawowym wymogom tego prawdziwego fetyszyzmu, to znaczy miłości – rzeczywiście pełnej miłości – nas samych, uzewnętrzniającej się pod twardej pancerzem, zamykającą ją w obrębie rzeczy dotykanej, umieszczonej, tak jak mebel, którym możemy się posłużyć, w tej rozległej, obcej izbie, zwanej przestrzenią.

Przedmioty te, będące przecież tworamii ludzkich rąk, wydają się na ogół jeszcze bardziej nam obce niż produkty natury, których stanowią zaledwie uległe, a zarazem bardzo osłabione refleksy, niepozorne cienie na granicy parodii, zbyt wątłe, by posłużyć nam za przeciwny biegun wewnętrznego bieguna naszej miłości.

To dlatego, że nie są wewnętrznie spójne, że nie są autonomiczne, dzieła sztuki w znakomitej większości przeraźliwie nas nudzą, są *nudniejsze niż deszcz*, w sumie bowiem dzieli je od nas więcej niż od kropli wody – bo piękne, ciekłe kulki wody przywodzą na myśl łzy, przynajmniej swą formą, jeśli nie smakiem, a ta wilgotność, ta płynność, ewokuje fale błogości, przepływającej przez nasze członki, kiedy kochamy się, albo kiedy pocujemy czyjś dotyk.

W chwili obecnej niewiele jest artystów, których dzieło wymyka się tej okropnej nudzie. A w przeszłości było ich jeszcze mniej. Wszakże wśród rzadkich nam współczesnych, którzy dzięki szczególnemu darowi nie podlegają tej regule, można wymienić Giacomettiego.

Są takie momenty, które można określić mianem *kryzysu*, i tylko one są ważne w życiu. Chwile, kiedy nagle to, co zewnętrzne, zaczyna zgadzać się z żądaniami wysyłanymi w jego stronę z naszego wnętrza, chwile, w których świat na zewnątrz otwiera się po to, by między nim a naszymi sercami zawiązała się nagle nić porozumienia. Przywołuję w pamięci kilka tego rodzaju przeżyć – wszystkie odnoszą się do zdarzeń z pozoru błahych, wypranych z wartości symbolicznej, tudzież, jeśli chcecie – bezinteresownych: na rozświetlonej rue Montmartre Murzynka z trupy Black Birds trzyma obiema rękami bukiet zroszonych wodą róż, parowiec,

na pokład którego dopiero co wsiałem, z wolna oddala się od nabrzeża, docierają do mnie strzępy jakichś piosenek nuconych przypadkowo, w ruinach w Grecji natykam się na jakiegoś dziwnego ptaka, który musiał być chyba czymś w rodzaju olbrzymiej jaszczurki... Poezja zrodzić się może tylko z takich kryzysów i tylko te dzieła się liczą, które dostarczają ich ekwiwalentu.

Lubię rzeźbę Giacomettiego, ponieważ wszystko, co on robi, wydaje się utrwalaniem takiego kryzysu w kamieniu i odznacza się intensywnością nagłego incydentu, błyskawicznie schwytanego i zastygłego w bezruchu, kamieniem przydrożnym, który daje temu świadectwo. Mimo to nie ma w tej rzeźbie niczego martwego, wręcz przeciwnie, wszystko jest, jak w prawdziwych fetyszach, którym można oddawać hołd (prawdziwych, to znaczy tych, które są do nas podobne i stanowią zobiektywizowaną formę naszego pragnienia), żywe aż do przesyty, eksponujące powab życia, mocno nasycone humorem, pięknym wyrazem tej uczuciowej ambiwalencji – temu delikatnemu sfinksowi wciąż dajemy strawę, zazwyczaj sekretnie, w samym centrum istnienia.

Więc nie domagajcie się ode mnie jakiegoś wyводу o *rzeźbie*. Ja wolę dywagacje – ponieważ te piękne przedmioty, które mogę zobaczyć i dotknąć, są zaczynem tyłu moich wspomnień...

Niektóre z jego rzeźb są puste jak szufelka albo jak wydrążone owoce. Inne są pełne dziur, przez które przechodzi powietrze, to poruszające struktury, ustawione między wnętrzem a światem zewnętrznym, sita zżerane przez wiatr, ukryty wiatr, który wciąga nas w olbrzymi czarny wir, w te minuty niesamowite, które wprowadzają nas w trans.

Giacometti urodził się 10 października 1901 r. w Szwajcarii (w kantonie Gryzonja). Jest synem malarza. Do czternastego roku życia przebywał w rodzinnym miasteczku, potem w 1915 roku rozpoczął naukę w liceum, które po czterech latach rzucił, aby uprawiać malarstwo i rzeźbę, czemu już od wczesnych lat chciał się oddać. Przez pół roku studiował w École d'Arts et Métiers w Genewie, ale nie przypadło mu to do gustu. Cały rok 1921 spędził, podróżując po Włó-

szech. Dziewięć miesięcy upłynęło mu w Rzymie. W 1922 r. przyjechał po raz pierwszy do Paryża. Przez trzy lata bywał tam od czasu do czasu, a od 1925 r. zamieszkał w Paryżu na stałe, z wyjątkiem dwóch, trzech miesięcy w roku, które spędza w rodzinnych stronach. Początkowo uczęszczał na Akademię, żeby pracować według natury, ale od kilku lat pracuje sam.

Giacometti to zatem rzeźbiarz bardzo młody. Idiotyczne jest bawić się w przepowiadanie przyszłości, ileż to razy prorocy nie różnili się od zwiastunów nieszczęścia. Ale jak nie szczerzyć pochwał na widok tych figur powstałych pod jego palcami, tak konkretnych, tak oczywistych, absolutnych jak twory, które się wielbi, skamieniałe w ulotną sól, ale bez cierpkości śniegu, jak kurz opadający pod palcami tego, kto je poleruje – ten nieuchwytny popiół dla pasjonatów powinien stać się relikwią – i ta cudowna sól, którą tylu dawnych poszukiwaczy pragnęło wydobyć z łona ziemi, słoność fal

i gwiazd, które też mają własne przypyły, a wreszcie sól łez, łez od śmiechu, łez z rozpaczy, czy łez w obłędzie, łez lekkich i jakby złośliwych, łez dziwacznych, karkołomnych, czy też ciężkich łez nasączonych solą kośćca i zlodowaciałych szkieletów, wciąż te krople wody, które padają niestrudzenie, czasem w niemej skale istnień dowiercając się oślepiających źródeł, zgęszczonych kropli wody, przypominających tę sól, która zawsze będzie zaspokajala nasz głód, sól morską, sól gorzką, sól łamiącej się falangi, sól zębów, sól potów, sól spojrzeń... I w końcu kamienna uczta, potrawa z brązu, cudownie żywa, i na długi czas zdolna nas pobudzać, podsycać nasz wielki głód.

Przełożył Marek Kędziński

*Tekst pochodzi z „Documents” 4/1929



Alberto Giacometti *Patrząca głowa*, 1929. Alberto Giacometti-Stiftung.
Publikowane w „Documents” 4/1929. Za: „Kwartalnik Artystyczny” 2-3/2003.